



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół. kwartal. 5 marek.

WYCHOWANIE.

Wychowanie tworzy niejako człowieka. Przynosi on ze sobą w życie pewne skłonności i zdolności, ale kierunek jaki tym skłonnościom i zdolnościom daje otoczenie, przykłady rodziców, wrażenia rozbudzające pewne siły uczuć, siły pragnień wewnętrznych, wyrabiają w istocie młodej moce i niemoce, które czynić je będą poziomą lub wzniosłą, złą lub dobrą. Każdy z pośród nas umiejący patrzeć w siebie i zdawać sobie rachunek z czynów popełnionych wie, że nawyki mają nad nami, nad rozumem naszym, nawet nad wolą naszą przewagę wielką i chcąc im się oprzeć musimy walczyć ze sobą, aby siła ta bierna nie pchała nas przemocnie szlakiem utartym. Aby dziecko dobrze wychowaniem być mogło, trzeba aby matka rozumiała doniosłość wpływów otoczenia, bo przykłady to są na których istota życia nieświadoma żyć się uczy, zwraca się w stronę jego prawą lub lewą i wyrabiają się w skutek tego pożądanego lub wstrętnego, tworzy się przed wzrokiem ducha pewien ideał piękna i szczęścia, ku któremu wyciągamy ramiona. Dla tego należy kobiecie matce mieć podniosły pogląd na życie, rozumieć jego cele i obowiązki, bo inaczej nie potrafi ona skierować myśli i uwagi dziecka na to, co powinno cenić i kochać — odróżniać złe od dobrego.

Miłość rodzicielska pragnie dziecku swemu nieba przychylić, jak się wyraża przysłowie, trzeba przecież aby to było rzeczywiste zbliżenie go do nieba — aby duch jego podnosił się nad drobne, nad materialne przyjemności, zwracał się myślą i uczuciem wzwyż, czerpiąc sobie podnioslejszych stron życia uciechy. Skoro się tak stanie można już śmiało twierdzić, że istota młoda przejdzie przez

życie to nieskalana — że nie zatoni w materializmie, nie zapragnie poziomu używania i tak ją ukształtować, to nietylko zaprawić ją do dobra, do cnoty, ale dać jej skarb, którego ogień nie spali, nie zabierze woda, bo jest on złożony w sercu naszym, w głębi naszego ducha. Człowiek, który używanie materialne za pierwszy warunek życia uważa, jest niewolnikiem okoliczności; jedna chwila zabrać mu może jego szczęście i miłość rodzicielską, jeżeli umie być kochającą prawdziwie, jeżeli umie być rozsądną, powinna obwarować życie istoty młodej przed takim niebezpieczeństwem.

Przysłowie: ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim... jest wyrazem bardzo mądrego pojęcia przeznaczenia i losu ludzkiego. Nie rozpieścić dziecka, to zrobić silnym człowieka — podnieść go nad pragnienie używania, zahartować do walki z okolicznościami życia i uczynić panem swojej woli, swojego losu. Jedynie ludzie tacy są wolni, bo ich nie zniedołężni słabość w pieszczotach nabyta, niemoc ciała stająca się niemocą ducha, przez którą to osuwamy się w dół istnienia.

Wychowanie może jedynie dać to człowiekowi. Nawyki idą z nami w życie i rodziców, matek szczególnie powinno to być dziełem, aby pierwsze skierowanie myśli i uczuć istoty młodej miało wytknięte sobie drogę taką, która wiedzie w stronę dobra i szczęścia zarazem, bo są to rzeczy nie rozdzielne. Natura człowieka jest w gruncie swoim szlachetna, ale namiętności nie ujęte w karby obowiązków moralnych psują go i zaćmiewają pojęcie jego o tem, co jest tu przeznaczeniem jego, umysł rozświecony pomaga mu przecież rozgraniczyć złe od dobrego, trzeba tylko, aby chciał to uczynić. W wychowaniu strona ta ma znaczenie najwyższe; wiadomości naukowe, rozszerzając horyzonty umysłu naszego, dają w skutek tego pojęcie życia i jego celów w rozleglejszym znaczeniu nabytków, jakie człowiek gnać sobie może, aby był istotą oświeconą, ale gruntem są tu moralne jego przekonania, moralne jego aspiracje.

Wiedza ma niewątpliwie wielkie oddziaływanie swoje, bo pozwala lepiej i głębiej sądzić, co tu jest złem lub dobrem, przecież po za tem trzeba jeszcze tych zasad, które stoją na straży obowiązku a te daje człowiekowi przeważnie wychowanie, w którym matka ma udział najznaczniejszy. Nietylko córkom wskazywać ma ona drogę życia prostą i nie poziomym szlakiem życia wiedzącą, ale i synowie potrzebują tu brać od niej podstawy szlachetnych tych pojęć, przez które moralna strona człowieka podnosi go nad egoizm, nad materialne tylko używanie. Każda z matek może tak jak matka Grachów wszczerpić w pierś tej młodzi szlachetnych uczuć zasady — może czynić ich mężnemi na walki z losem, jeżeli przez fałszywe pojęcie miłości macierzyńskiej nie rozmięknie w nich ducha wraz z ciałem.

Matka każda jest apostołką, która rozkrzewiać powinna wśród ludzkości podniosłą tę wiarę w dostojność natury człowieka, przez którą człowiek ten szanować się sam powinien, a wtedy szanowanym będzie i przez bliźnich swoich, więc szczęśliwym i szczęście rozszerzającym. Trzeba tylko, aby to pojęcie szczęścia nie opierało się jedynie na używaniu życia w wygodach i dostatkach, aby odnosiło się ono do zadowolenia istoty naszej moralnej, która wtedy czuje się szczęśliwą prawdziwie, gdy użyteczna, więc nie czująca w głębi swojej tej pustki, która wykazuje nam nicość naszą, patrzy na świat i otaczające ją społeczeństwo jako na pole zasługi i dorobku duchowego. Dziecko nawet bardzo młode już doświadcza tego. Skoro spełnionem zostanie to, co mu się jako obowiązek przedstawia, wesółość jakaś radosna w pierś mu wstępuje i ochotniej zabiera się do pracy, która mu lżej idzie a wskazówka to jest jak wychowanie powinno być prowadzonem i jakim mocom działać tu należy. Matkom, nauczycielkom, trzeba to zrozumieć i wyzyskać szlachetny ten natury człowieka przywilej, że cieszy go zwycięstwo odniesione nad sobą w walce z lenistwem, walce z zapoznaniem obowią-

zku, w czem dziecko podpieraniem być powinno przez rozsądną pochwałę, przez rozsądną naganę. W tak prowadzonym wychowaniu powiedzieć dziecku, że obowiązek dobrze spełnionym został, to rozradować je i dodać chęci do trwania w tym kierunku bez żadnych przecieży pochwał szczególnych, bo powinność to jest jedynie. Trudniej przecieży przychodzi ganić tak, aby młoda istota uczyła w sereu żal, mający jej być karą, która by odkupieniem winy się stała i zarówno rodzice, jak i wychowawcy bardzo uważnie działać powinni, bacząc, aby takt rozumny tu panował.

M. I.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Następnego dnia przy obiedzie, p. Klemens uwiadomił żonę i córki, że wyjeżdża do Zarzecza.

Przyjęto wiadomość tę ze zdziwieniem, bo właśnie nazajutrz miał się odbyć ów bal „wiosenny“, o którym trzy części Warszawy rozprawiało przy najmniej.

— Nie mogę zwlekać...—mówił, usprawiedliwiając się — muszę wpaść i do Zambrówki, bo coraz więcej niepokojące odbieram z tamtąd wieści. Strach co z tą Orzelińską wyrabiają. Jakąś tam znowu słyszę, awanturę z chłopami miała... Trzeba to raz skończyć! Zniszczą majątek, ona nieumiejętnością gospodarowania, chłopci zasada że ograbić szlachcica do cnót katechizmowych należy.

— Ojczulek się tak uprzedził do tego biednego ludu...—wtrąciła Amelka.

— Może powiesz, że bez racji?—zadrwił p. Klemens.—Już ja ich znam!

— Przypuszczałam, że p. Orzelińska wyjdzie w tym roku za mąż,—odezwała się stłumionym głosem Janina.—Przecież p. Dembiński...

— Ale dajże spokój, moja droga! — oburzył się p. Klemens.—Co jej po mężu, a jemu po żonie? Ona tak wspomnieniami przywiązana do swojego nieboszczyka, a on do szpitala, czyli swoich chorych, że im to najzupełniej wystarcza.

— I ojczulek myśli, że oni się nie połączą?

Amelka zauważyła, że głos Janiny drżał lekko.

— Oczywiście, że nie! Uczucie czyste platoniczne...—odparł.—Gdyby nawet mieli ten zamiar, to bym nie pozwolił. Wszystkie szyki popsuliby mi co do Zambrówki. Dembiński zamiast pisać recepty wiałby się pewno do gospodarowania... Postanowiłem, że Zambrówka musi mi zaokrąglić Zarzecze—dodał, wydymając wargę.

— Klemensie! — ozwała się z napomnieniem p. Helena.—Masz taki brzydki zwyczaj żartowania w najpoważniejszych kwestjach...

— Wcale nie żartuję, żoneczko! — przerwał p. Klemens.—Mam nadzieję, że cię wkrótce o tem przekonam. Jadę właśnie, korzystając ze smutnych okoliczności, w jakich ta biedna wdowa znowu się znalazła, przekonać ją i namówić do możliwie szybkiego ukończenia ze mną interesu.

— Zambrówka w obec wydatków, poniesionych na pobyt nasz zagranicą, na kosztowne gospodarstwo w Zarzeczu i zbyt długie życie jakie tu prowadzimy, wydaje mi się poprostu gwiazdą zawieszoną na błękitach...—mówiła poważnie p. Helena.

P. Klemens rozgniewał się.

— Może ci się nietylko gwiazdą, ale słońcem i księżycem wydawać... — odpowiedział szorstko, o zwykłej słodczy zapominając.—Nie lubię, kiedy kobiety wtrącają się do interesu. Nic nie rozumiesz i na niczem się nie znasz...

P. Helena tym razem nie ustąpiła.

— To przecieży łatwo zrozumieć,—rzekła.—Gdy człowiek zbyt wielki ciężar przyjmie na siebie, podobnie mu nie będzie w możności i wtedy następstwa bywają bardzo smutne...

P. Klemens z uśmiechem zjadliwej ironii popatrzył na żonę.

— Twoje pienia żałobne, weale mnie nie rozczula. — odezwał się cierpko, maltretując ją spojrzeniem. — A tak mi już zbrzydły mądre twoje rady i bezustanne jęczenie, do którego masz wrodzoną skłonność, że radbym jaknajprędzej z Zambrówką skończyć. Nie pierwszy to raz jest ona kością niezgody pomiędzy nami. Jaka to święta rzecz, kiedy kobiety nie wysuwają się z granic im zakreślonych.

— Nie przez prawo chyba, ojcze? — zagadnęła niespodziewanie Janina. — W takim razie byłoby to prawo okrutne...

P. Klemens roześmiał się, matka i Amelka spojrzały jednocześnie na Janinę.

Twarz miała rozpromienioną, oczy błyszczące ogniem.

— Dać prawo głosu kobiecie w interesach, to szalonemu włożyć miecz w rękę, — odparł żartobliwie p. Klemens.

— Nie mogę się na to zgodzić, ojczulku,—podjęło dziewczę odważnie.—Więc kobiecie nie wolno byłoby wystąpić ani w obronie wspólnego spokoju i dobra rodziny, ani zagrożonego bytu, ani w ogóle nigdy i w niczem nie objawić swojego zdania? A więc pan i niewolnica, nie zaś dwie istoty, związane sympatją i sakramentem, wspólnością ducha, pojęć i uczuć jednakich.

Teraz już p. Klemens śmiał się głośno, szczerze, ale nie mniej z dumą przyglądał się córce. Podniecenie dodało nowego uroku jej piękności.

— Brawo, brawo, duszyczko! — potakiwał z żartobliwym uznaniem.—Czy panienska przypadkiem nie pisze jakiego dzieła o wyzwoleniu z więzów uciśnionych niewiast, lub nie przygotowuje się do odczytu? To byłoby zabawne! Wiadoma rzecz, jak wy lubicie deklamować moje paniel! Że posiadacie bardzo żywą wyobraźnię, temperament wybuchający łatwo, umysł lekki i płochliwy, o tem już cały ród męzki wie oddawna. Oczywiście niktby wam innych cnót pięknych zaprzeczać nie mógł, bo cierpliwością, słodczą sercem tkliwym i zdolnością poświęcenia się, przewyższacie zawsze męczyznę... Trzeźwy pogląd przecieży na poważną stronę życia, musicie nam pozostawić.

— Kobieta przeważnie wychowuje dzieci i urabia charakter, bo ojcowie czasu na to nie mają zajęci pracą po za domem,—odezwała się rezolutnie Janina.—Zresztą i chętnie się od tego usuwają, jak to widzę z przykładów... Z dzieci tych, wyrastają nieraz mężowie mocni duchem i ciałem, chluba społeczeństwa i pożytek; widocznie więc ręka, która wychowaniem ich kieruje, nie należy do kobiety o płochliwym i lekkim umyśle, do kobiety, której mąż np. odmawia prawa głosu w kwestjach wybiegających po za sferę kuchenną i magazyny ze strojami. Przynam się ojczulkowi, że weale poglądów ojca nie rozumiem.

Umilkła, lecz wzrok swój jasny trzymała w twarzy ojca utkwiony z siłą, która go paraliżowała.

Matka patrzyła na nią z dumą i miłością, Amelka ze wzruszeniem.

— Słyszałam zawsze, że kobieta jest koroną ludzkości, kwiatem, pięknocią, siłą męzczyzny i radością,—dodała jeszcze Janina.—Tymczasem są to tylko frazesy, bo męczyźni postępowaniem swoim kłam temu zadają.

— O! panienska w nielada zapał wpadła,—zauważył kwaśno p. Klemens.—Powiem ci, dziecko, że jest to greczyzna jeszcze dla ciebie. To co mówisz teraz, zawdzięczasz pięknej p. Malskiej. Poczekamy z polemiką, aż sobie sama wyrobisz poglądy i na tę i na inne kwestje.

Opuścił pokój rozgniewany, Janina twarz na pierśiach matki ukryła.

— Ojciec jest niedobry, a ty jesteś święta, mameczko! — wybuchnęła ze zwykłą żywością.

Nad Zambrówką zebrały się chmury. Józik lokajczyk, zajęty gracowaniem ścieżki koło pałacu, nauczał dodaną mu do pomocy pokojówkę Marysię, że skoro słońko „pobiega“ deszcz będzie niechybnie. Istotnie, wśród puszystych, rozstrzępionych obłoków przebiegała kula słoneczna jakby krepą popielatą zawołowana i kiedy niekiedy tylko skośny jaki promyczek strzelił ku ziemi palącym blaskiem, dając sposobność Marysi do okazania swojej rudycei w formie poważnego w stronę Józka objaśnienia, że skoro słońko „przypieka“ to deszcz jeszcze pewniejszy niżeli gdy „pobiega.“ I byłaby się z pewnością wywiązała z tego sprzeczka, gdyby nie zjawienie się p. Orzelińskiej, z koszykiem flanców, które też wnet w klombie sadzić poczęła. Oddawała się zajęciu temu z widoczną przyjemnością i wciągała w płuca ciepłe, wilgotne nieco powietrze, bo czuła już było deszcz, oczekiwany z upragnieniem jako niezbędnym do zasiewów i flanców potrzebnym.

W koło pałacu zazeleniło się ślicznie; w parku niesłychane bogactwo fiołków zakwitło i narcyzów i stokrotek, drzewa w świeże liście się ustroiły, na wysokiej topoli zamieszkał poważny bocian wraz ze swoją połowicą, a nadzieja powiększenia się rodziny tak go uszczęśliwiała, że nie przestawał kłopotaniem radości swej objawiać.

Cudna, odmładzająca wiosna, odświeżyła wszystko dokoła i nawet znękany umysł Orzelińskiej do broczynne jej skutki odczuwał.

Skończywszy flancowanie podniosła się i miły uśmiech twarzy jej ożywił.

Z podwórza nadjeżdżał Oleś konno; czerstwy, rumiany zdaleka już powiewał ku matce kapeluszem. Trzymał się na koniu śmiało i zręcznie, z oczu tryskało mu zadowolenie.

Przyjechał właśnie ze szkół na święta do matki nad wszelki wyraz szczęśliwy, że ma znowu swego konia i nieograniczoną swobodę.

— Mamo, mameczko! — wołał rozpromieniony — co ja odkryłem, co ja znalazłem... Z drogi, pierzaste hufce! — krzyknął ze śmiechem, bo oto nadchodziła Zosia, przewodnicząc sporej gromadce małych kurcząt, poprzedzona przez wiernego Brylanta, który wprawiał zalotne kokoszki i poważne koguciki w nieustającą trwogę.

Za niemi, mała, tłusta Irenka toczyła się jak kula, uzbrojona w gałęz topolową, wołając srebrnym jak dzwoneczek głosikiem: „a sio, a sio...“ Szczęśliwie Wacek harcował na drewnianym koniu wydając wojenne okrzyki.

Orzelińska widok ten chwycił za serce. Rozpromieniony jej wzrok przenosił się kolejno z jednej twarzyczki dziecięcej na drugą, a była w nim i duma i miłość bezmierna.

W chwilach takich zapomniała, że jakiekolwiek troski na świecie istnieją.

— Jakież to odkrycie zrobiłeś, Olesiu? — pyta, zwracając się ku synowi.

W oczach chłopca odbiło się wzruszenie.

— Ach, mamo! Ta nasza Zambrówka to już najpiękniejsza na świecie całość... — rzekł z uczuciem.—Tu nigdy nie można powiedzieć, że się już wszystko widziało... Odkryłem taki widoczek, żeby go się Szwajcarya nie powstydziła.

— Gdzie, gdzie? — pyta zaciekawiona Zosia.

Oleś wyprostował się z dumą i dodał:

— Oprócz pięknego widoku znalazłem coś, co mi głęboką radość sprawiło.

Dzieci otoczyły go.

— Pewno skarb jaki odkryłeś... — odzywa się Zosia, pod wrażeniem świeżo przeczytanych losów Alibaby.

— Znalazłem pamiątkę po naszym drogim ojcu,—odparł z powagą.—Wdrapałem się na sam szczyt góry, Kamieniówkę przez wieśniaków zwanej, z kądem widok wspaniały roztacza się w około. Leżą tam od tysiąca lat chyba, mchem zielonym obrosłe kamienne olbrzymy i na jednym z nich właśnie odnalazłem literę ręką naszego ojca wyrte. Pamiątka ta, najdłuższą chyba przetrwała, mameczko, niepraważ? papier żółknie, pismo zblednie, zatrze się, a taki napis na kamieniu wyrty, siła czasu istnieć będzie.

— Czy to daleko od Zambrówki? — pyta ciekawie Zochna.—Jabym też chciała zobaczyć...

Orzełńska wzruszona przyglądała się rozmarzonej twarzy chłopca.

— I ja bym chciała... — szepnęła bezwiednie.

Oleś objął ją czule i patrząc w oczy matki z niezgłębioną miłością, wyszeptał:

— Ojczulek musiał cię bardzo, bardzo kochać mateczko... Na kamieniu wyryte jest twoje imię i data...

Rumieniec oblał twarz Orzełńskiej.

— Jest data? — pyta gorączkowo. — Jaka data?

— Irenie — Wacław, 23 czerwca 18... r. — oznajmił z dumą chłopiec. — Czy to pamiątkowa data, mateczko? Przypuszczam, że tak...

Oczy ciekawością roziskrzono, utkwili badawczo w twarzy matki.

Orzełńska pochłonięta wspomnieniami.

— Pamiątkowa data? O tak! Jedna z najmilszych, niezapomnianych chwil w życiu! Z drobniawą dokładnością, pamięć jej, odtworzyła zdarzenia owego dnia czerwcowego, kiedy na ramieniu męża oparta, przebiegała nazajutrz po ślubie, piękne okolice Zambrówki. A była wówczas młoda, ufna i szczęśliwa... W kochającym spojrzeniu Wacława, czytała miłość gorącą, zapowiedź przyszłości o tęczy i jasnym barwach.

Życie przecież nie ziściło marzeń! Srebrne nitki w bogaćwie kasztanowatych splotów, uśmiech melancholijny i tęskny, wzrok zawsze upatrujący czegoś w oddali, świadczyły o zawodach i goryczy lut minionych, o tej niezem nie dającej się ukończyć tęsknocie, którą zwykle uczuwają istoty wybiegające pragnieniem po za granice szarej popiołitości życia, umiające głęboko czuć i głęboko się przywiązać.

W szczęśliwie dobranym związku, byłaby znalazła spokój i zadowolenie, bo Wacław był dla niej pierwszą i ostatnią miłością, niestety i przyczyną najsroźszych bólów i upokorzeń.

Rozmarzona wspomnieniami, wzruszona, uściskała syna i zgromadziwszy dzieci obok siebie, długo, długo opowiadała im o zmarłym ojcu, o jasnym choć rzadkich chwilach z nim przeżytych.

— Ojciec był taki uszczęśliwiony, gdyś ty się urodził, Olesiu... — mówiła synowi, więc chłopak podnosił czoło z dumą.

— Muszę stać się podobnym do ojca... — odparł z powagą. — Będę gospodarował w Zambrówce, gdy dorosnę... prawda, mamo?

Dreszcz wstrząsnął Orzełską.

„Podobnym do ojca...” Jakież ból sprawiły jej te słowa! Dziecko bezwiednie dotknęło niezabliźnionej rany w jej sercu. Przebacząc mężowi krzywdę, jaką jej i dzieciom swoim wyrządził, czyż mogła przecież wskazując im cel życia pożyteczny i piękny, stawiać jako przykład bezużyteczne, przez nieszczęsną namiętność zwichnięte życie ich ojca.

Zamyśliła się posępnie; wyraz jej twarzy zmieniony nagle uderzył Olesia i Zochnę.

— Mamusia tak posmutniała... — zauważyła dziewczynka, tuląc się do matki.

Oleś czynił sobie wyrzuty, że poruszył wspomnienia, które ją rozdziały.

— Nie oddamy nigdy Zambrówki w obce ręce, mateczko, — rzekł, chcąc od zasmucającego przedmiotu myśli matki oderwać. Nie wiedło mu się jednak, bo oto nowa troska wybiła się na twarzy Orzełskiej.

— Dziecko drogie — zaczęła zwolna, spojrzeniem bezgranicznego żalu ogarniając tulącą się do niej dziewczynę — trudno nam będzie utrzymać się przy Zambrówce. Przede wszystkim idzie o to, aby cośkolwiek na przyszłość odłożyć, na edukację naszą, która niemałego nakładu potrzebuje...

— Mamo! — zawołały przerażone dzieci. — Mama chyba nie mówi tego seryo?

Łagodnie, powoli opowiedziała im o zamiarach Krasnohorskiego, o wytrawnym, a tak życzliwym dla nich zdaniu Dembińskiego, który przecież pozbycie się Zambrówki niemal za konieczne uważa.

Dzieci słuchały zdumione, wylękłe...

— To niepodobna! — powtarzał co chwila Oleś i widać było, że walczy mężnie z napływającymi do oczu łzami.

Zochna kłała cicho. Cóżby się stało z jej gospodarstwem, z ogródkiem, który uprawiała sama...

Serce matki boleść tę odczuwało podwójnie; czy jednak była jakaś rada, punkt wyjścia z okoliczności tak powikłanych, wyciągniętych, że rychło przewidywać należało ostateczny cios, ruinę, w obec

której tym biednym rozbitkom, nie pozostałoby już nic zgoła.

Tymczasem niebo chmurzyło się coraz bardziej i pierwsze krople deszczu spadły, wróżąc wiosenną ulewę, co choć przeminie szybko, przecież ślady orzeźwiającej zostawi.

Orzełńska zabrała dzieci do pokoju; starając się ich rozzerwać; udawała wesołą, odgrzebywała zajmujące z dziecinnych lat swoich wypadki, ale słuchały jej pozornie tylko, wciąż jednej, gnębiącej myśli oddane.

Oleś szczególnie, był prawie, ogłuszony. Po za granicami Zambrówki, świat dla niego nie istniał. To był najmilszy jego sercu zakątek, miejsce tylu wspomnień, gdzie obraz ukochanego ojca nie odstępował go i każda po nim pamiątka budziła tęsknotę.

Gdy matka na chwilę opuściła pokój, łyzy obfite ulżyły mocującemu się dotąd ze sobą chłopcu.

— Zosiu, Zosiu! — zwierzał się siostrze z rozpaczą — czy to możliwe, żebyśmy kiedykolwiek odteśknili się po Zambrówce, żebyśmy obemu przybyłemu który wyciągnie rękę po nasze skarby, oddali wszystkie pamiątki? Nie mogę znieść tej myśli, nie mogę! — powtarzał, tłumiąc łkania. — Zambrówka od tylu, tylu lat należała zawsze do Orzełskich, przechodziła z ojca na syna i teraz ja dopiero mam być jak pisklę wyrzucone z gniazda...

Zosi, która ślepo przywiązana była do brata, boleś jego wielką żalostí ścisłała serce.

— Mój drogi braciszku! — szepnęła, pocieszając go — może się jeszcze złe odmieni... Przecież i mama nie chciała by z pewnością sprzedać Zambrówki...

Oleś przecież w głębi duszy czuł żal do matki. Zdawało mu się, że zbyt łatwo oswoiła się z myślą opuszczenia ich rodzinnej wioski, że ów prezes Krasnohorski olśnił ją świetnymi projektami, a Dembiński, przez życzliwość dla nich, widzi wszystko w czarnych kolorach.

Niestety, zbyt rychło miał się przekonać, jak smutne w istocie rzeczy było położenie Zambrówki.

Koło południa zjawili się goście. Nieoczekiwani, niespodziewani, sprawili przybyciem swoim popłoch nieopisany. Wprawdzie w ostatnich czasach szczególnie, widywano ich kiedy niekiedy w Zambrówce, zawsze przecież z jednakiem przykrem witanem uczuciem.

„Komornik przyjechał...” przelatywało z ust do ust, i każdy usuwał się w kąt zniechęcony, a byli i tacy, co ciekawością, lub udaniem współczuciem, dodawali jeszcze goryczy. Opisano meble, inwentarz, co się dało. W wyroku figurowała wcale pokażna sumka, której oczywiście Orzełska nie była by w możności zapłacić.

Okoliczność ta, pogrążyła ostatecznie Zambrówkę. Zbliżał się termin opłacenia Towarzystwa, nie było już co sprzedać, ani skąd czerpać.

— Niema ratunku! — szepnęła Orzełska po dniu nad wyraz męczącym idąc do pokoju dzieci. Chciała pokrzepić się ich widokiem, zapomnieć choćby na chwilę, o nurtującej umysł trosce.

I tu zawód ją spotkał. Nie przypuszczała, aby dzieci położenie tak głęboko odczuły.

Siedzieli zapłakane, osowiałe. Do Olesia nawet ze słowem perswazyi zwrócić się nie można było. Wybuchł płaczem i całując ręce matki prosił, aby nie mówiła nic, nie zgoła, bo to boleś jego powiększa jeszcze.

— Czy to nie krzywda dla pamięci ojca naszego, — powtarzał z uporem rozpieszzonego dziecka, raniąc słowem każdym zboleś serce matki. — Nigdy, nigdy nie powinniśmy porzucić Zambrówki...

Orzełska w obec jego rozpacz, postanowiła jednego jeszcze chwycić się środka.

Nie próbowała dotąd zwrócić się do uprzejmości sąsiadów, ni o pomoc ni o radę. Teraz przecież uczyni to, każe zamilknąć dumie; żałuje, że nie namyśliła się wcześniej... Będzie to dla niej jedną z cięższych chwil w życiu i rezultat wątpliwy jednego więcej upokorzenia, lecz już się nie waha...

Nocy tej nie zmrzuryła powiek. Przepędziła ją całą, siedząc u okna, zasłuchana w monotonny plusk deszczu, zakłopotana, od kogo jutrzejszą wędrówkę rozpocznie.

Górki leżały najbliżej. Przypomniła sobie, że właściciel tychże bywał u nich częstym za życia męża gościem, że niejednokrotnie żądał sąsiedzkiej jakiejś przysługi, że wreszcie był to człowiek boga-

ty, kto wie, czy nie najbogatszy w okolicy. Od niego tedy zacnie i już potem przełamawszy pierwsze lody, objedzie bliższe i dalsze sąsiedztwo.

— Wszyscy kochali Wacława — powtarzała, chcąc wiarę w pocziwość i uczynność ludzką w sobie umocnić. Niepodobna aby ktoś się nie znalazł, co by z pomocą, czy radą energiczną nie pośpieszył.

Nad ranem deszcz ustał. Słońce wschodziło jasne, pogodny błękit nieba zapowiadał dzień ciepły i Orzełska, nie chcąc zostawić sobie czasu do namysłu, wybierać się do drogi zaczęła.

O godzinie dziesiątej powóz stał już przed ganekiem; Szerszyński zaciekawiony, z chytrą miną kręcił się koło pałacu. Intrygowało go, dokąd dziecko wyjeżdża...

Orzełska pożegnawszy się z dziećmi, z dziwną otuchą wyszła na ganek, gdy we dwoje zgięty rządecą przysunął się nieśmiało.

— Pani dziedzieczka wyjeżdża?... — spytał z udaną pokorą. — Walenty sporo obroku wziął... Jeżeli pani dziedzieczka długo zabawi, będzie kram z ludźmi... Wołają o zapłatę... kwartał się skończył...

— Nie potrzebujesz mi pan przypominać... — odparła. — Wszak w zeszłym tygodniu jeszcze kazałam przyjść z książkami po zasługi.

Szerszyński uśmiechał się dwuznacznie.

— Wiedziałam, że pani dziedzieczka nie ma pieniędzy... — odezwał się wciąż z ową przybraną pokorą. — Prosiłem, żeby czekali... Im przecie wszystko jedno, czy dziś, czy jutro dostaną... — dodał dobroduszenie.

Orzełska przygryzła wargę.

— Czym pana o to prosiła? — spytała, hamując oburzenie. — Zkąd pan wiesz zresztą, czy mam pieniądze, lub nie? Skoro kazałam przyjść z książkami, powinien pan być dopilnować aby się stawili. Reszta do pana obowiązków nie należy.

Szerszyński się ukłonił.

— Dobre serce i przywiązanie do pani dziedzieczki... — zaczął, ale mu przerwała.

— Dosyć! — rzekła dobitnie. — Proszę pamiętać, aby wszystko było w porządku do mego powrotu. Cofnij też pan od południa tę próżniaczą gawiedź z ogrodu. Tam już nie ma do roboty, czegoby Marysia z Józefem zrobić nie mogli. Zapominasz pan, że robotnik najemny, to rzecz kosztowna!

Skloniła mu lekko głowę i pojechała.

— Ciekawym, gdzie ona jedzie? — mruczał pod nosem idąc do propinatora, z którym zawsze miał jakieś konszachty. — Muszę się mieć na baczności! Zambrówka to smaczny kąsek! Dojna krówka panie dobrodzieju! Żeby tylko baba, uchowaj Boże, nie zrobiła głupstwa i nie sprzedała...

Skręcał już na mostek, za którym stała karezmą dostatnio i pięknie wyglądająca, gdy na koniu w pełnym galopie przypadł do niego Oleś.

— Panie Szerszyński! — wołał z daleka. — Czy przejadę przez łąki do głównego traktu? Chciałbym matkę do Borówki przeprowadzić...

Szerszyński się obejrzał.

— Nie, — mówi — przez łąki się nie przejedzie, bo dalej są trzęsawiska... Chociażby do gościńca koło figury jechać, to i tak panicz nie zdąży... Kawał drogi trzeba okrazać...

Oleś zasmucony zeskoczył z konia. Strumyk płynął opodal czysty jak kryształ, więc mu przyszła ochota napoić swego ulubieńca, kasztana. Śpieszyć za matką już nie miał po co, bo nie byłby jej dogonił.

Szerszyński rad ze sposobności, wziął go na spytaki.

— Pani dziedzieczka tak wcześnie wyjechała... — zaczął rozmowę obojętnie niby, wzrok ciekawy wlepiając w chłopca. — Stangret mówił, że pono w daleką drogę... Nabral ci też obroku, bo nabral... Będzie go pewno po karczmach sprzedawał, a koniska wrócić zabiedzone.

Oleś wnet się ożywił.

— Dałbym ja mu! — zawołał, z pewną siebie miną.

Szerszyński mu pień drzewa obalony w olszynie, pokazał.

— Przysiadźmy panicz! — zaproponował. — Powietrze takie pachnące... Kasztan sobie tymczasem młodej trawki skubnie...

Oleś zgodził się chętnie. Od dnia wczorajszego miejsca sobie znaleźć nie mógł; chwilami ogarniała go rozpacz prawdziwa. Oddać Zambrówkę, oddać

w obce ręce kasztana, do którego się jak do najlepszego przyjaciela przywiązał; wydawało mu się wprost rzeczą niemożliwą.

Noc upłynęła mu we łzach i rozmyśleniach.

Stary Szerszyński odrazu postrzegł znękanie oblicze chłopca.

— Co to panicz taki zafrasowany? — pyta. — Młodości przystoja figle i wesołość... Starym oto frasośliwe myślenie zostawić.

Chłopca łyż już dusiły w gardle.

— Gdybyś pan wiedział, panie Szerszyński! — szepnął i zdjął go znowu nie tylko żal ale i wstyd. Co sobie ludzie i służba pomyślą, że oni chcą, muszą, Zambrówkę sprzedać.

Staremu oczy zamigotały. Prysnął się bliżej.

— Niech panicz żalu w sobie nie dusi, bo niezdrowo, — rzekł życzliwie. — Lepiej wyrzucić wszystko z serca i z głowy... Komuż zresztą jeśli nie mnie... Tyle lat państwu służę, jak pies wierny...

Chłopak się na kłamaną czułość złapał jak ryba na wędkę.

— Mój złoty, mój kochany panie Szerszyński, — przemówił z boleścią, — okropne mam zmartwienie! Mama chce sprzedać Zambrówkę!

Zasłonił sobie twarz rękami i nie zauważył, jak nieprzyjemnie zmieniła się dobrodusza twarz Szerszyńskiego.

— Sprzedać Zambrówkę? — powtórzył skrzywiony. — Czym ja dobrze słyszał, panie? Miły Boże! Jak też to panowie teraz kawałka ziemi chętnie się wyzbywają... Nie mogę uwierzyć panie, żeby naszej pani taka brzydka myśl do głowy przyszła.

Oleś płakał już na dobre. Rad, że się przed kimś użalić może, zaczął opowiadać Szerszyńskiemu, że Krasnohorski, dziedzic Zarzecza, chce Zambrówkę nabyć, że p. Dembiński mamę namawia, lecz że on, Oleś, jest temu przeciwny i pewnym jest prawie, że takiego ciosu nie przeżyje.

— Jaby nigdy, nigdy nie sprzedał Zambrówki, — zapewniał uroczyście. — To jest nasze gniazdo rodzinne, pamiątka po ojcu i ojciec z pewnością w grobie nawet krzywdę wyrządzoną nam, czuć będzie.

— Oczywiście! — pomrukiwał stary. — Jakżeby! to jest święta rzecz, święta spuścizna! Pani dziedziczka jako żona, ma oczywiście prawo, ale dzieci mają pierwszeństwo, a jakże! I po co sprzedawać? Czy to gospodarstwo źle idzie? Czy ja nie pracuję, nie haruję od rana do nocy?... To widzi panicz, wszystko przez te sąsiadzkie namowy... Dać, juści żaden nie da, ale wtrącać się z radą każdy potrafi...

— Mama mówi, że w Zambrówkę ciągle gotówkę trzeba kłaść... a — a my nie mamy pieniędzy... — szepnął zawstydzony chłopak.

— To się tylko tak gađa, panie! — zawołał Szerszyński. — Wiadomo, że kobiecie łatwiej wszystko wmówić... Nieboszczyk pan, radby pewno nie słuchał... Co tu kłaść, gdzie tu kłaść? Zambrówka daje, ale nie bierze! Cóż to panicz dziecko, albo co? Tyle ludzi z niej żyje...

Oleś się zastanowił.

— Prawda, — mówi — ale długi za to są... Komornik wczoraj wszystko opisał...

— Et, — machnął ręką stary. — Ktoby tam sobie z komornika co robił... Nim sprzedają co zajęte, można przecie pieniędzy dostać... A zresztą, niech się pani dziedziczka broni... Tylko że to u nas ręce się zakłada bezczynnie i na kupca czeka.

Szyderczy, zbyt familijny ton Szerszyńskiego, nie uszedł uwagi chłopca.

— Mamie także żal Zambrówki, — rzekł usprawiedliwiając.

Szerszyński uśmiechał się złośliwie.

— To nieszczęście, że pani dziedziczka ani na gospodarstwo, ani na interesach się nie zna, — odezwał się śmiało. — Jaby inaczej był wszystko poprowadził. Ale z państwem to zawsze tak!

Oleś spojrzał na niego obrażony.

— I pan też winien, — rzekł odważnie. — Sam nieraz widziałem, jak chłopci konieczną nam wypasali, kartofle z kopców kradli; jakem panu o tem mówił, toś pan tylko głową kiwał, a ludzie swoje robili.

— Et! — machnął ręką Szerszyński. — Tu we wszystkim taki porządek. A ja paniczowi powiadam, niech panicz nie pozwala Zambrówki sprze-

dać... Cóż to panicz dziecko i krzywdy swojej nie rozumie? Pani dziedziczka trzeba wszystko jak należy przedstawić. I łzami i prośbą... Zawsze to przecie matka jest i dziecko swoje kocha. Dziedzic z Zarzecza chce kupić Zambrówkę, bo wie, jaki to smaczny kasek; ale niech panicz nie pozwala...

— Mama mówiła, że i tak w czerwcu Towarzystwo sprzeda... — odezwał się zgnębiony chłopak. — I wtedy oczywiście nie nam się nie zostanie...

— Et, panie! Z Towarzystwem nie ma strachu, — odparł z pewną siebie miną stary. — Abramek na pniu jeszcze pszenicę i żyto kupi... Ratę się zapłaci i będzie spokój.

Oczy chłopca zaświeciły radością.

— Ach, panie Szerszyński, — zawołał gdyby to tak można zrobić jak pan mówi! Nie wiem jakbym Panu Bogu dziękował. Tylko czy mama zechce?..

— To już do panicza należy, — zakonkludował stary. — Choćby przez pamięć dla nieboszczyka pana, nie powinien panicz pozwolić... Pani dziedziczka jest miękka niewiasta i jak każda, łez się boi... Niech panicz powie, że sobie co złego zrobi, a zaraz ustąpi.

Popatrzył na dumne czoło chłopca, w oczach dostrzegł wyraz zaciętego uporu i zadowolony podniósł się z siedzenia.

— Muszę już w pole pójść panie, — rzekł. — Pierwej trzeba do propinatora o czynsz się upomnieć. Już trzecią ratę zaległ kanajja. Dam ja mu!

Uklonił się Olesowi i rad z siebie do karekmy pośpieszył.

— Ot babskie gospodarstwo! — mruzczał idąc. — Dobrze żem ja sam o sobie pamiętał. Byłaby i mnie i moje dzieci ładnie wykierowała. Trzeba się zawczasu za jaką dzierżawką obejrzeć. Na początek, mógłbym z jakie dziesięć włók...

Oleś tymczasem wjechał w olszynę i zostawiwszy wolę kasztanowi, nie zważał dokąd go tenże ponieśli. Wszystko co mówił Szerszyński, utkwilo mu gwoździem w mózgu. Żal do matki, pogłębiał się z każdą chwilą. Uwierzył święcie, że środki ratunku istnieją, że przy dobrych chęciach z Zambrówki można jeszcze sumy wyciągnąć i jeśli sprzedaną zostanie, to będzie winą matki, która słucha rad nieżyczliwych i zniechęciła się do gospodarstwa.

Było to pierwsze nieporozumienie, pierwsze ziarno niechęci ku matce, ślepo dotąd kochanej i szanowanej.

Kasztan tymczasem wiódł go przez zarośla, przez zagajniki młode, pieśnią ptasząt rozbrzmiewające.

Drożyną którą jechał, podnosiła się w górę co raz wyżej, słońce posuwało się szybko ku południowi i Oleś sam nie wiedział kiedy, znalazł się na górze Kamieniówką zwanej, wobec spokojnej, dziwną uroczystością oddychającej przyrody, z zawieszonym nad głową najczystszy błękitem, z widokiem na rzekę, doliny i sioła, na ukochaną Zambrówkę, wychylającą się z drzew zieleni, tak piękną i tak mu drogą.

Zeskoczył z konia i wkrótce potem do omszałego głązu przytulił rozgorączkowaną twarz, tęskniące zawsze do pieczyoty ojcowskiej usta.

„Irenie — Wacław...” czytał bez końca, wpatrzony w literę ręką ojca wrytą. Ojca tego on czcił i kochał, pamięć o nim, nie wygasła nigdy w jego sercu. Jasne chwilki z nim przeżyte, zachował jako najdroższe wspomnienie. Ojciec nauczył go konnej jazdy, ojciec ofiarował mu kasztana, do którego on, Oleś czuł przywiązanie, jak do najwierniejszego, ukochanego przyjaciela. Zambrówka była kolebką ojca, wszędzie go widzi, oddycha tem powietrzem którym i on oddychał, wszysej go tu znali, kochali.

I on miałby ją porzucić, oddać wobec ręce co ma najdroższego? Nigdy!

Zdawało mu się w chwili tej rozpamiętywać i niezwalczoną tęsknotą, że jest olbrzymem, który stanie do walki choćby ze światem całym, że prośbami swojemi zmieczy postanowienie matki, wywalczy dla Zambrówki przyszość jasną i pewną.

— Przysięgam ci to ojcie! — szeptał, gorącemi łzami oblewając ślady ojcowskiej ręki. — Tu, pod napisem przez ciebie wrytym i ja kiedyś swoje literę położę. A uczynię to wtedy, kiedy gniazdo nasze rodzinne, oswobodzę od wszelkich ciężarów, i nie mu już grozić nie będzie.

W piętnastej wiosnie życia, wszystko się lekkiem i łatwym do zdobycia wydaje.

Oleś powracał do domu, uspokojony i szczęśliwy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Prawdziwą satysfakcję sprawia krytykowi możliwość częstego wspomnienia o artyście, który talentem swoim ustawicznie daje dowody wszechstronnego rozwoju i każe śledzić postępy, jakie ciągle czyni na drodze, prowadzącej do zupełnego udoskonalenia. Niejednokrotnie miałem sposobność na tem miejscu wyliczać zalety wielkiego talentu Henryka Melcera, młodego wirtuoza i kompozytora — dziś powracam do tego samego tematu i korzystam z okazji, aby odtworzyć nową stronę indywidualności artysty, zdobywającego w świecie muzycznym pierwszorzędne stanowisko.

Na wstępie zaznaczyć należy, iż młody artysta opuszcza konserwatorium w Helsingforsie i przenosi się do Lwowa, gdzie obejmuje w tamtejszym instytucie muzycznym miejsce profesora fortepianu. Będzie tam miał pole do popisu i niezawodnie w krótkim czasie zasłynie w artystycznych kręgach nadpółwianńskiego grodu, rozmiłowanego w dobrej muzyce i chętnie artystę popierającego. Najlepszy dowód sympatii, jaką zdołał sobie zaskarbić Melcer we Lwowie, mieliśmy w przyjęciu, które go spotkało na własnym koncercie; było to przyjęcie wyjątkowo entuzjastyczne zarówno ze strony tłumnie zgromadzonej publiczności, jak i krytyki. W ten sposób Lwów dał naucekłębiwej się swojej muzykalności Warszawie, która w nielicznym komplecie stawiała się na koncert Henryka Melcera w salach reutowych, dnia 23 marca b. r.

A warto było posłuchać tego koncertu. Melcer wystawił na nim dzieło własne, które zdobyło tryumf wszechświatowy na konkursie imienia Rubinsteinów w Berlinie, gdzie zgromadzony areopag najpoważniejszych sędziów artystycznych przyznał utworowi naszego kompozytora palmę pierwszeństwa.

Koncert *E-moll* Henryka Melcera jest dziełem rzeczywistego i to potężnego natchnienia; jest przytem tak na wskroś swojski i oryginalny, z taką nadto napisany jest bujnością młodzińczego temperamentu, że porywa każdego i przenika do wnętrza duszy słuchacza. Twórczość objawia się w tem dziele w potęgę, tryskającej z każdego frazesu, który wraz z całością łączy się w przepyszny poemat symfoniczny, czarujący świeżością pomysłów i przemawiający do zmysłów przedziwną formą estetyczną. Melodya płynie tu swobodnie, korytem szerokim i głębokim zarazem; koryto ujęte jest jednak w brzegi uregulowane i pełne w rysunku nieporównanych wdzięków. Pomimo użycia najświeższych zwrotów kontrapunktycznych i harmonicznych, pomimo wielce efektywnej instrumentacji, twórca potrafił myśl swoją wyłożyć dobitnie i treść dzieła przedstawić dla wszystkich zrozumiale. Poezja tej melodyi znajduje do uwydatnienia swej wartości formę swojską, która świadczy, iż autor czerpał nie z głowy, nie z reminiscencji, ale z pierwiastków pieśni ludowej, jedynej twórczy prawdziwie wielkich kompozycji.

Charakter koncertu Melcera jest naprzemian liryczny i pełen dramatycznego nastroju. Z melodyi przechodzi twórca bardzo umiejętnie do wstrząsających akcentów tragicznych, które w pierwszej części znalazły streszczenie, rzecz można, ujęcie — w świetnie pomyslanej fudze, kończącej się okrzykiem pełnym wysoce dramatycznej ekspresji.

Potem przychodzi prosta, wzruszająca poezja liryczna, jakby śpiew nadziei rozlegająca się w instrumentowych dźwiękach. W utworze tym znaczącojsze jest szczęśliwe inteligencji z talentem, wiedzy i widnieje dobry smak. Po wstępnym temacie na instrumenty dęte i po preludium — wkraczamy bez przygotowań rozwlekłych od razu *in medias res*

działa. Ludowe pierwiastki powracają w ciągu utworu, doskonale wcielone w całość kompozycji. Końcowe *rondo* świetnie napisane zamyka koncert jak nie można lepiej.

Orkiestra teatru Wielkiego pod dyrekcją Zygmunta Noskowskiego towarzyszyła młodemu kompozytorowi, który sam wykonał partię fortepianową.

Nie ma dość słów na pochwałę tej dzielnej orkiestry, która o jednej próbie akompaniowała do nieznanego utworu bez zarzutu.

Sam koncertant grał świetnie zarówno swoją kompozycję, jak i koncert Rubinstein'a *d-moll* i parę innych drobniejszych utworów.

Oklaskom i wywoływaniom nie było końca. Publiczność oto żyła estradą zwartem kołem i dziękowała wymownie znakomitemu twórcy za rozkoszne chwile, na jego koncercie spędzone. Ma ten młody mistrz wielką przyszłość przed sobą.

Drugi wieczór muzyki pokojowej, która odznacza się zawsze powagą i zawiera program wysoce artystyczny, budził zaciekawienie nowością, po raz pierwszy produkowaną. Nowością tą był kwartet smyczkowy *f-dur* Romana Statkowskiego. Młody ten również kompozytor, również z uniwersyteckim wykształceniem (skończył przed dwunastu laty wydział prawny w Warszawie), posiada dość uzdolnienia twórczego i może z pożytkiem pracować na polu kompozytorskim. Właściwą sferą twórczości Statkowskiego są miniatury i prace muzyczne; w szerokim zakresie brak mu polotu i nieodzwonnej siły. Wytrawny znawca muzyki, p. Tadeusz Hanicki, tak się w tej mierze wyraża: „Lepiejby uczynił p. Statkowski, wydając swój utwór, odpowiednio uzupełniony, jako *suite*, która nie wymaga głębszych pomysłów, ani tak ścisłej organicznej łączności pojedynczych ustępów. Z czterech części jego kwartetu, najudatniejsem okazało się *seherzo*, najsłabszem zaś *andantino*, wychodzące już zupełnie z ram muzyki kameralnej. Cecha to zresztą charakterystyczna wszystkich, z małym wyjątkiem, utworów kameralnych epoki po-mendelssohnowskiej. Pod względem faktury należy się utworowi p. Statkowskiego bezwzględna prawie pochwała.

Forma, zastosowana ściśle, z wyjątkiem wspomnianego już *andantino*, do ustalonych form klasycznych, wprawna ręka narzucona, jest zwięzła, kontrasty w tematach zachowane i układ pojedynczych części dobrze ustosunkowany. *Fugato* wprowadzie, rozpoczynające drugą część *allegro commoda*, technicznie cokolwiek jeszcze ławą szkolną — po za obrębem wszakże fugi, prowadzenie głosów jest poprawne, naturalnie zastosowanych do właściwości każdego instrumentu.

Towarzystwo muzyczne zaprezentowało pod koniec zeszłego miesiąca tercet wokalny śpiewaczek holenderskich, pań: Anetty de Jong, Anny Corver i Maryi Snyders. Trzy te artystki kończyły studia w berlińskiej *Hochschule* pod kierunkiem profesorki śpiewu pani Schulze von Asten — przed czterema laty, i odtąd towarzyszy im stałe powodzenie. Czystość intonacji, harmonia, zlanie się głosów, wyborne wykonanie szczegółów i precyzja w interpretacji charakteryzują śpiew utalentowanych artystek. Interpretacja ta pozostawia po sobie przyjemne wrażenie, wywołane szlachetnością traktowania wszystkich utworów. Nasza publiczność przyjęła tercet holenderski z widocznym wyróżnieniem.

Najlepiej odtworzyły śpiewaczki pieśń holenderską, bardzo dobrze wykonały czeskie i norwęgskie utwory.

Tego samego wieczoru śpiewali „Lirnicy“ towarzystwa muzycznego pod kierunkiem swego dyrektora, Zygmunta Noskowskiego. Owacyjnie witano i żegnano młodzieńczy ten chór, strójnie i dźwięcznie interpretujący pieśń, w jego ustach tem miłą i piękniejszą.

Sympatyczny i dzielny dyrektor „Lutni“, Piotr Maszyński doznał gorącego przyjęcia na dorocznym swoim koncercie, który się ostatnimi czasami odbył w sali resursy obywatelskiej. W koncercie wzięli udział: Michałowski, Szelegierówna, Butkiewicz i „Lutnia“. Dyrektor Maszyński wystąpił z szeregiem nowych pieśni: „Oświadczyń“, „W czystym polu“ i „Leć głosie po rosie“, nadto usłyszeliśmy wspaniałego poloneza „Wierni rycerze“, chór „Werbownicy“, bajkę „Wóz z sianem“, krakowiaka „Płyną“ etc. — Wszystko to są rzeczy prawdzi-

wie piękne i silny znajdujące oddźwięk w sercach słuchaczy.

Prof. Michałowski wykonał z właściwą sobie maestrią nowelę *f-dur*, wariacje z sonaty *f-moll* Schumanna oraz nokturn i polonez Chopina. Ślicznie odśpiewała p. Szelegierówna piosnkę „Do ptaszyny“, a p. Butkiewicz, wysoce utalentowany wiolonczelista, odegrał z niemałym powodzeniem nokturn Chopina, tarantellę Poppera i pieśń neapolitańską Corselli.

Po kilkutygodniowej gościnie w naszej operze, utalentowana artystka, Mira Hellerówna, pożegnała tłumy słuchaczy, uczęszczających na występy znakomitej śpiewaczki. Po raz ostatni śpiewała „Faworytę“, doznając entuzjastycznej owacji: wybornej artystce wręczono kosze żywych kwiatów i wywoływano ją bez liku.

Wielkiem również powodzeniem cieszy się p. Battistini, który czaruje swym przepięknym głosem i nieporównaną interpretacją. Mało jest takich dystygowanych śpiewaków, obdarzonych tylu szczęśliwymi warunkami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Na konkursie towarzystwa muzycznego nagrodzono kwotą rs. 300 polonez jubileuszowy p. Ignacego Pileckiego; pierwsze odznaczenie otrzymał p. Tadeusz Joteyko, drugie — p. Michał Hertz. Dwaj młodzi kompozytorowie: p.p. Pilecki i Joteyko, są uczniami dyrektora Noskowskiego i zapowiadają wiele na przyszłość. Ich kompozycje posiadają dużo polotu i dowodzą, że wstępujący na pole twórcze artyści pracowali wiele i skutecznie. Słów kilka powiemy o każdym z tych młodych a utalentowanych kompozytorów — następnym razem.

Na zakończenie niniejszej kroniki muzycznej, wspomnieć wypada o p. Aleksandrze Myszudzie, który śpiewał na prywatnym raucie w jednym z najlepszych salonów artystycznych; znakomity artysta wywiera zawsze ten sam urok prześlicznym swym głosem i wysokimi zaletami wytwornej interpretacji.

Adam Dobrowolski.

Z Włoch.

Nie jest tu u nas wesoło, niepomysłne wypadki w Afryce, zwłaszcza ostatnia porażka armii włoskiej pod Aduą rzuciła na kraj cały, jak bez przesady wyrazić się można, całun żałoby; ministerium Crispiego zostało też zmuszone do rozwiązania się i była taka chwila, że król Humbert zamierzał abdykować, składając berło w ręce syna, księcia Neapolu, a działo się to z powodu, że jak tu dowodzą liczne głosy, wiele nieszczęśliwych tych wypadków ciąży na nim, ponieważ nie chciał przyjąć pokoju, ofiarowanego mu przez stronę przeciwną, to jest przez Negusa Menelika. Telegramy nadchodzące codziennie przynoszą zawsze wieści smutne strat tak w godności Włoch, jak i w ludziach, którzy się stali ofiarą tej nieszczęśliwej wojny, a jednym pomiędzy nimi jest młodzieniec pełen nadziei, książę August Chigi. Sprawili też to żal tym większy w całym niemal narodzie, że z miłości dla Włoch wstąpił własnowolnie do wojska i odpłynął do Afryki, gdzie odznaczał się zawsze nie tylko męstwem, ale i szlachetnością wielką. Śmierć jego wykazała to dobitnie, bo poniósł ją, zasłaniając piersią własną generała Albertone, którego był adjutantem. I drugi taki młodzian szlachetny ze sfer magnackich, Marek Folchi-Viei, dobrowolnie stanął w szeregach wojsk włoskich i bił się walecznie a dodać trzeba, że obaj należeli do tych rodzin, które nie są stronnikami dzisiejszego stanu Włoch. Ale duch techniczny gdzie chce a uczucie miłości ogółu swego większym jest w piersiach ludzi szlachetnych, niż wszelkie uroszczenia kastowe.

Holdem, do jakiego mieli prawo obaj dostojni młodzieńcy, był żal ogólny a dodać trzeba, że i w całym kraju nie jest wesoło. Król Humbert odezwał się z narodem i wyraził też życzenie, aby w rocznicę jego urodzin, w d. 14 marca, nie by-

ło żadnych uroczystości publicznych nawet u dworu, to też nie bywało ich i we sferach wszelkich. Nie bawiono się wcale przez cały karnawał, choć nie tracą tu jeszcze nadziei, że stan rzeczy się polepszy; włoskie kobiety zasługują tu szczególnie na uznanie, bo nie tylko bawić się nie pragnęły, ale zajmowały się gorąco opieką nad ranami i choremi żołnierzami, a stowarzyszenie Czerwonego Krzyża otrzymywało summy znaczne, ich staraniem zbierane. Organizowano na ten cel zebrania rozmaite; małżonka ministra Blanka urządziła bazar, który licznie zapełnił gośćmi obszerne i pyszne piękne komnaty pałacu Sciera, który jest rezydencją ministra spraw wewnętrznych, mieszczącą nieocenione skarby sztuki, dla której Włosi są zawsze przejęci entuzjazmem nieklamany.

Wystawa sztuki, zwana jubileuszową, urządzona we wspaniałym pałacu na Via Nazionale, zamknięta niedawno, bo w d. 23 marca, zajmowała szesnaście sal olbrzymich, a dodać należy, że oczy zwiedzających miały co oglądać, choć wielką to było wadą, że dopuszczono tu i niemało rzeczy bardzo miernej wartości, z wyjątkiem oddziału rzeźb, gdzie niemal wszystko zaliczyć można do dzieł wyższego znaczenia w nowożytnej sztuce włoskiej. Najwyżej tu cenionym przez znawców był portret Alma Tedemy; zarzutem, który uczyniono wystawie jest przyjęcie tu obrazu malarza Simoni, wykonanego wprawdzie z talentem niepospolitym, ale śnać nie pojmującego, że piękno, aby rzeczywiście pięknem być mogło, musi przedstawiać ideał czysty.

Nie uwzględniono również tego wystawiającego w teatrze Argentina czteroaktową operę Jakuba Puccini „Cyganeria“. Rzecz dzieje się na bruku paryskim, gdzie widzimy że poeta, filozof, malarz, muzyk, to cygani bulwarów tamtejszych; akcja jest tu mało żywa a przedmiot bynajmniej nie pociągający, ale muzyka bardzo piękna i dobrze wykonywana, a strona dzieła wokalna również przynęcająca. Wspaniałe piękne frazy w dwóch duetach wzbudziły taki zapal w słuchaczach, że kompozytor został w ciągu sztuki wielokrotnie wywoływany, a w antrakcie otrzymał z rąk ministra Bacelli krzyż komandorski orderu S-go Maurycego i Łazarza. Nigdzie prócz Włoch nie przyznano by nagrody takiego znaczenia za utworzenie pięknej opery, która przecież nie mieści w sobie żadnych tych zalet wyższych, przez które sztuka oddziaływała tak na słuchaczy, aby rozbudzała im w piersiach to gorętsze uderzenie serca, które podnosi w nich ducha. Młody kompozytor, Leoncavallo, wystąpił tu obecnie z trzechaktową operą liryczną „Chaterton“ i Włochy, jak to widzimy, są zawsze obdarowane tym talentem drogocennym, którego może oddziaływać najsilniej na ludzi, bo powiedzieć można, że muzyka to poezja samorodna, która tak przenika miedza, jak i prostaczka.

Leoncavallo utworzył sam libretto tak, jak to było i w innej jego sztuce, w Pajacach, biorąc sobie za tło dramat Alfreda de Vigny. Bohaterem jest tu ubogi poeta angielski, Chaterton, zakochany nieszczęśliwie w kobiecie zamężnej, w małżonce kwakra, surowo pojmującego życie, u którego przecież znalazł przyjaźnię mu ofiarowaną gościnę. Kryjąc w sercu miłość bez nadziei, dręczony niemożnością spłacenia długów, bo wśród walk które stacza z sercem swoim praca twórcza nie może rozwinąć się tak, aby stanął w rzędzie poetów wyżej cenionych, kończy samobójstwem życie, co włoski artysta oddał z gorącym tem uczuciem, w którym znać było młodzieńczą siłę, młodzieńczą gorącość serca.

Mascagni, nie mniej ceniony tu kompozytor, tworzy obecnie operę „Tosca“, a dał się on już poznać publiczności w jednoaktowej operze, wystawionej w Piaro, w mieście rodziwnem Rossiniego, pod tytułem „Zanetto“. Treść jest wzięta z komedii francuskiego pisarza Coppé „Przechodzień“, a że obok muzyki bardzo wdzięcznej libretto jest równie zajmujące i poetycznie, szlachetnie pomyślane, opera miała wielkie powodzenie. Już to nigdzie chyba publiczność nie zajmuje się tak gorąco muzyką jak tu a nie tylko tą, która brzmi na koncertach i w teatrach. W dzień S-go Józefa przy mszy, którą Leon XIII odprawił w prywatnej swej kaplicy, muzyka zachwycała ludzi nawet najmniej do tego skłonnych, żałować tylko trzeba, że słyszyć ją mogła tylko liczba osób ograniczona do sześćdziesięciu, czynią się przecież starania, aby dała się

słyszyc w kościele katedralnym, wspaniale obszernym i z akustyką wyborną.

Zwiedzając miasto w różnych jego dzielnicach zwykle bez żadnego otoczenia dworzan, cesarzowa austriacka zobaczyła raz na rynku gromadkę dzieci otaczającą stragan z owocami świeżo nadesłanemi, których widok nęcił malców, nie mających przecież za co ich kupić. Cesarzowa zrozumiała to po ich minkach smutnych i dobre serce kobiety skłoniło ją, że znalazła się wkrótce w tym gronku dzieciaków i przystąpiwszy do straganu zakupiła wszystkie te przedmioty pożądaną malców i rozdawać je poczęła wśród radośnych okrzyków uszczęśliwionych, gdy ktoś z przechodniów poznał ją i zdradził, wypowiadając głośno hałaśliwej rzeszy, kto to jest ta łaskawa na nich pani i stało się naraz wielkie zbiegowisko ludzi, wydających z włoskim zapałem okrzyki na jej cześć. Ale nie był to koniec, na drugi dzień deputacya pań miejscowych przybyła prosząc, aby im dozwolono ujrzeć dostojną panią, której pragnęły złożyć podziękę za przykład dobroci i tliwości kobiecego serca, który im dała. Przygotowują też one jawny tego uczucia wyraz przez zbiorowe utworzenie jakiejś dobroczynnej instytucji jej imienia, któraby świadczyła przez lata długie o dobroci jej serca.

Gdy doszła tu smutna wiadomość z pola walk w Afryce o śmierci księcia Augusta Chigi, patrycyusza rzymskiego, ugodzonego kulą w pierś, w chwili gdy zasłaniał własną swą osobą jen. Albertone, którego był adjutantem, matka, otrzymawszy wiadomość o śmierci syna, mgłała tak, że się lękano o jej życie; gdy przecież przybyła do letniej jej rezydencji, miasteczka Aricci pod Rzymem, deputacya kobiet włoskich, pragnąca wyrazić żal swój nad jej stratą, księżna, dziękując za współczucie, dodała jak spartanka, że syn jej spełnił swój obowiązek.

August

ODCZYTY.

Stanisław Bełza. „Na dalekiej północy.“

Po p. Krausharze katedrę prelegentką w tegorocznej seryi odczytów na korzyść osad rolnych zajął na dwa wieczory niezmordowany podróżnik i autor wielu dzieł podróżniczych, p. Stanisław Bełza. W szeregu licznych prac jego, poświęconych tej zaniedbanej u nas dosyć gałęzi piśmiennictwa, — obok „Odgłosów Szkocy“, malowniczych opisów Holandyi, Wenecyi i t. d., znajduje się niedawno wydane dziełko, p. t. „W kraju tysiąca jezior“. W książce tej, zarówno jak i w dwóch ciekawych i pouczających prelekcjach, wygłoszonych świeżo w Aleksandryjskiej sali ratusza, autor roztoczył przed czytelnikami i słuchaczami szereg pełnych dzikiej grozy lub melancholii głębokiej obrazów natury fińskiej i usiłował z powodzeniem zapoznać nas w zarysach ogólnych z historią Finlandyi i jej dzielnicami mieszkańcami, zwracając głównie uwagę na ciężką ich walkę z przyrodą, która na każdym kroku na zgnębienie ich czyhać się zdaje, na obecne ich położenie ekonomiczne, wysoki poziom oświaty i bogate zdobycze kulturalne, któremi słusznie szczycić się mogą w czasach ostatnich.

Wykład swój rozpoczął prelegent od porównania Finlandyi z Holandją. Jeżeli Holandia licznymi zatokami, któremi morze poszarpało jej brzegi, kanałami i rzekami, przerzynającymi gęstą siatką jej łąd stały, wzbudziła podziw w Amicis'ie i wyrwała z ust jego uwagę, że kraik ten, w którym zdaje się, iż jest więcej wody, niż ziemi, byłby właściwszem siedliskiem dla bobrów i fok, niż dla ludzi cywilizowanych, to cóż dopiero mówić o Finlandyi! Był czas, kiedy obszerny ten kraj, przewyższający pod względem rozległości Wielką Brytanię razem z Belgią i Holandją, był dnem wielkiego morza północnego, którego fale i lodowe góry pokrywały cały północno-wschód Europy, a dzisiejszy Bałtyk był jedynie odnogą tego wielkiego obszaru wód słonych. Z ponad płaszczyzny wodnej unosił się wtedy tylko

skalisty grzbiet Skandynawii, a jedynymi mieszkańcami tych dzikich i pustych przestrzeni były foki i mewy. Z czasem jednakże, pod wpływem działania sił wulkanicznych, Finlandya, jak Afrodyta, wynurzyła się z głębi fal morskich, które ustąpiły na zachód, pozostawiając po sobie w zagłębiniach i uziinach mnóstwo jezior olbrzymich. Jeziora te sprawiają, że Finlandya wywiera obecnie wrażenie wielkiego archipelagu, w którym niewiadomo naprawdę, gdzie się kończy woda i gdzie się łąd stały zaczyna, jest to prawdziwy kraj tysiąca jezior i tysiąca wysp skalistych.

Proces podnoszenia się wybrzeży Finlandyi nie zakończył się dotąd. Pod wpływem sił, ukrytych w głębi ziemi, brzegi tej krainy cał po cału unoszą się zwolna w górę, tocząc od wieków zwycięski bój z falą morską, która przed nimi ustępować musi i ustępuje powoli, lecz stale. To też wybrzeża Finlandyi dziwny przedstawiają widok. Potargane przez zęby fal, wywierają zrazu wrażenie olbrzymich kałuż błotnistych, otoczonych girlandą drobniutkich wysepek, których ilość najbieglejszym geografom wiadomą dotąd nie jest i nigdy zapewne nie będzie. Na przestrzeni 10 wiorst kwadratowych naliczono ich przeszło 300 i dano pokój obliczeniom. Z biegiem czasu osuszają się kałuże i błota, i za lat kilkadziesiąt trzęsawiska i bagna, pokrywające wybrzeża Finlandyi, zamienią się może na piękne i urodzajne równiny, które będą świadkami rozkwitu postępu i pracy cywilizacyjnej.

Jedną z osobliwości Finlandyi są jasne zupełnie noce. W ciągu kilku letnich miesięcy kraj ten nie zna zupełnie mroków nocy i kapie się nieustannie w potokach bladego światła. Jest to, jak opisuje autor, światło, do żadnego ze znanych nam światel niepodobne, coś pośredniego między wspaniałym blaskiem słońca, a niepewnym połyskiem miesiąca, coś przejściowego już nie od nocy do dnia, ale od skromnego świtania do majestatycznego wschodu słońca. Poetyczna fantazyja ludów północy umie pięknymi legendami objaśniać zjawiska przyrody. Według jednego z podań takich, światło przyswiecające letnim nocom Finlandyi, jest owocem miłostnego uścisku, który przed wiekami połączył uroczą jutrznię z mrokiem nocy. Inna legenda głosi, że światło to otrzymała od matki Europy najmłodsza jej córka Finlandya, która przy podziale bogactw rodzicielskich nie dopominała się ani o kseres ognisty, jaki się dostał Hiszpanii, ani o szampan pienisty, który w wianie otrzymała Francya, ani o chłodzące pomarańcze włoskie, laury greckie, bukowe lasy duńskie, ani wreszcie o łąny pszeniczne, które w udziale przypadły ziemi sarmackiej, lecz prosiła tylko o światło słoneczne dla swych długich i ciemnych nocy.

Jeżeli ze świata legend przeniesiemy się w krainę rzeczywistości, to przedewszystkiem wypadnie nam, idąc śladem prelegenta, rzucić okiem na historyczną przeszłość Finlandyi. W dziejach jej dwa miasta odegrały rolę najważniejszą, a mianowicie Abo, leżące, przy ujściu do morza rzeki Aury, na szlaku, prowadzącym na północ kraju, i Wybörg, rozłożony na brzegu dzisiejszej zatoki wybörgskiej i otwierający drogę na wschód. Zrozumieli niezmierne znaczenie tych dwóch punktów Szwedzi, kiedy w XII wieku zwrócił się na Finlandyę ich wzrok zaboreczy, i w miejscach tych właśnie dźwignęli ogromne zamczyska, tworząc sobie tym sposobem silne podstawy operacyjne do działań dalszych. Rozpoczęła się między Szwecją a Finlandją uparta walka na polu religijnem, politycznem i kulturalnem. Szwedzi prawem Chrystyanizmu torowali mieczem drogi krwawe, finnowie bronili się mężnie, a pobici w otwartem polu chronili się w gąszczu lasów i puszczych niedostępnych, wznosząc tam znowu bóstwom krajowym podruzgotane przez najeźdźców ołtarze. Siłę Szwedów uległy najpierw wyspy Alandzkie, najbardziej wysunięte na zachód. Po dwóch blisko stuleciach krwawej walki, religia chrześcijańska zapanowała ostatecznie w Finlandyi, a za religią wpływ i władza Szwedów. Ale mężny i długotrwały opór zwyciężonych, umiał wzbudzić dla siebie cześć w sercach zwycięzców. W szwedzkich opisie podboju Finlandyi nierzadko spotkać się można z wyrazami hołdu dla jej pierwotnych mieszkańców.

Z czasem stosunek zwycięzców do zwyciężonych złagodniał i uległ wogóle pożądanej zmianie. Miejsce krwawej walki orężnej zajął dobroczynny wpływ

kulturalny, a mężowie, zarządzający Finlandją z ramienia Szwecyi, zjednywali sobie trwałą wdzięczność ludu fińskiego. Z mężów takich zasługuje przede wszystkim na wymienienie hr. Per Brache, który zarządził Finlandją po śmierci Gustawa Adolfa w morderczej bitwie pod Lützen, gdy na tron szwedzki wstąpiła córka tego walecznego króla — Krystyna. Nie mogła ona oddać wielkorządtwa Finlandyi w lepsze ręce. Hr. Per Brache był dobrym geniuszem tej ziemi, pod jego wpływem kultura zachodnia przedostała się do najdalszych zakątków „kraju tysiąca jezior“. Nie poprzestając na popieraniu przemysłu i handlu krajowego, usuwaniu wszelkich nadużyć, przeprowadzaniu wygodnych dróg, zwrócił on uwagę na stan oświaty publicznej, i jego to staraniami zawdzięcza Finlandya, że liceum, założone za Gustawa Adolfa w Abo, w r. 1640 przemienione zostało na Uniwersytet, do którego sprowadził Per Brache najlepszych profesorów z metropolii i w którym dał początek bogatym zbiorom naukowym.

To też pamięć zasług tego męża przetrwała w Finlandyi, aż do czasów dzisiejszych, a wymownym jej dowodem jest piękny pomnik, który mu w Abo w r. 1868 wzniosł wdzięczny naród.

Na uwagę zasługuje także działalność Michała Agricoli, który, będąc Szwedem z ducha i profesorem liceum szwedzkiego, dał jednak początek literaturze fińskiej. Większe jeszcze zasługi położył Porthan, który był także dzieckiem cywilizacji szwedzkiej, lecz mimo to w dziele odrodzenia literatury fińskiej odegrał olbrzymią rolę, zbudził z duchowego uśpienia cały naród i pchnął go naprzód na drodze do rozkwitu i postępu. I jego zasługi upamiętnione zostały pomnikiem, na którym widnieje wzruszający napis: „Mężowi, który jest zaszczytem całej Finlandyi...“

Szwedzi stanowią w Finlandyi 14% ogólnej liczby mieszkańców, osiedlili się przeważnie nad brzegiem Bałtyckiego morza i odrębnią od reszty kraju pieczęć wycisnęli na całym wybrzeżu. O wpływie ich w tym kraju świadczy cały szereg pięknie zabudowanych miast, dobrze uprawiona pod zbożem i ogrodami ziemia, wreszcie fabryki, porozrzucane gęsto nad dwoma zatokami. Wywarli oni także pewien wpływ na życie prywatne Finów, które będąc fińskiem, nie przestaje mimo to aż do szczegółów drobnych być pobratymczem szwedzkiemu. — Finnowie, stanowiący 85% ogólnej liczby mieszkańców, zajęli środek kraju, porosły gęsto berami, zatopiony w całym swem wnętrzu mnogością mozarów i wód, pokryty na całej północy nie topniejącymi nigdy lodami. Przetrzebieenie tych puszcz, przeprowadzenie wygodnych dróg, osuszenie bagien i błot, wzniesienie na ich miejscu siedzib ludzkich i urządzenie sztucznych łąk, na których pasą się dziś całe stada koni i krów, — oto są owoce wytrwałości i energii rdzennej ludności tej ziemi.

Do niedawna komunikacya ze środkiem Finlandyi utrudniona była bardzo brakiem wygodnych dróg. Dopiero w r. 1870 ukończono budowę drogi żelaznej, która łączy stolicę kraju Helsingfors z Petersburgiem, a za tą pierwszą przeprowadzono wkrótce i parę innych kolei.

Przedtem jeszcze, bo w r. 1851 otworzono dla żeglugi kanał Sajmański, który łączy olbrzymie jezioro Sajma z Bałtykiem i jest owocem długotrwałych wysiłków ludu fińskiego. Kanał ten ułatwia bardzo dotarcie do środka Finlandyi, — o przeprowadzeniu go marzono oddawna, lecz dopiero postępy techniki współczesnej dopomogły do przebiecia szczytnej skały na przestrzeni 6 mil, dzielących to jezioro od morza.

Nie możemy zatrzymywać się z prelegentem nad szczegółowymi opisami miasta Abo i Wybörga, jeziora Sajma, katarakty Imatra etc. Zatrzymamy się tylko na zakończenie nad niektórymi przytoczonymi przezeń cyframi, które rzucają światło wymowne na stosunki, panujące w tym kraju.

Finlandya ma przestrzeni 373,600 kilometrów kwadratowych, lecz w obszarze tym 60% stanowią lasy i skały, 20% bagna i trzęsawiska, 12% jeziora tak, że zaledwie ósma część kraju ma ziemię, zdadną pod uprawę, i żywić musi całą ludność kraju. To też w latach nieurodzaju dziesiątki tysięcy ludzi ginęły tutaj z głodu lub chorób, będących jego wynikiem. W ostatnich czasach jednak produkcya kraju wzrosła do niebywałych rozmiarów. Spro-

wadząc zboże z zagranicy. Finlandya daje jej w zamian corocznie za 13 milionów franków nabiału od krów, wyhodowanych na jej sztucznych łąkach, wysyła co rok za granicę po kilka tysięcy wytrawnych i racych koni, zasypuje deskami swojemi pierwszorzędnymi rynkami zagranicznymi, wywozi papier, żelazo etc., a wartość wywożonych przez nią towarów dochodzi w ostatnich latach do 120 milionów franków rocznie, gdy jeszcze w r. 1857 nie przewyższała szesnastu.

Nie mniej podziwu godnymi są cyfry, świadczące o poziomie oświaty w tej dziwnej ze wszech miar krainie. Finlandya należy do krajów, stojących pod względem oświaty najwyżej w Europie całej. Ilość analfabetów nie wynosi w niej nawet 10% ogólnej liczby mieszkańców. Na 2,300,000 mieszkańców kraj ten, oprócz uniwersytetu w Helsingforsie, gdzie w r. 1892 słuchało wykładow przeszło tysiąc studentów i studentek, posiada 957 szkół ludowych fińskich i szwedzkich, 56 szkół dla dziewcząt, 25 szkół państwowych elementarnych i wreszcie 28 liceów. Na 957 szkół ludowych 756 jut fińskich, 196 szwedzkich, a resztę stanowią szkoły mieszane. Dodajmy do tego, że Finlandya posiada kilka znakomitych towarzystw naukowych i literackich i wydaje 146 organów prasy, a w tej liczbie 85 pism peryodycznych w fińskim języku, kiedy na początku bieżącego stulecia wychodziło tam jedno jedyne pismo i w dodatku w języku szwedzkim. Obecnie, jak zapewnia prelegent, niema w Finlandyi tak biednej chaty włościańskiej, w której by znaleźć nie można było jednego lub dwóch pism ludowych. Nie dziwnego, że i dobrobyt kraju wzrasta z rokiem każdym...

Barwny i zajmujący wykład szanownego prelegenta ilustrowały ładne obrazy niknące. P. Bełza wypowiedział obydwa odczyty z młodzieńczym zapałem i ciepłem ujmującym, umiał zaciękawieć i rozgrzać liczną zebraną publiczność, która mu dziękowała przeciągłymi oklaskami.

Wł. Bukowiński.

Z AMERYKI

Zastosować tu można stare nasze przysłowie, że na tym świecie dziwnie się plecie, bo bolesne uczucie smutku miesza się często z wybuchami mimowolnej radości, gdy zjawia się wśród nas przybysz nowy z po za Oceanu i usłyszysz się dźwięk ojczystej, mowy, usłyszysz się starodawne pozdrowienie: Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!.. A nie rzadko się to zdarza, bo niepocześciwi spekulanci naganiają dla zysków przewozu w sieć swoją łańcuchowatych i obalamuconych. Emigrantów, z Galięi zwłaszcza, przybywa coraz to więcej i śnać że przedstawiony sejmowi memoriał polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego nie zdziałał nic, albo bardzo mało. Założenie urzędowych biur informacyjnych dla objaśnienia tych, którzy kraj rzucając śpieszą za Ocean, przedstawiało by im choć w części jakiegoś czego się tam spodziewać mogą, wskazując im zarazem z jakich portów włoskich puszcząć się należy za ocean. Podnoszona już była kwestya wytworzenia w Genui gospody, przyjmującej tych obalamuconych, lub na chybi trafi działających, gdzieby mogli znaleźć przynajmniej odpowiedni przystanek. Wprawdzie doszły nas tu już wieści że w sejmie lwowskim podjęto tę sprawę, polecając wydziałowi krajowemu, aby czuwał nad zgorączkowanymi, na oślep gdzieś w świat rzucającymi się ludźmi i jeżeli już nie da się zatrzymać ich w kraju, niechby przeciw dała im była przez konsulów jakaś opieka funkcyjaryszów, którzy by mogli porozumiewać z nimi ich językiem.

Trzeba tu być, aby wiedzieć jak potrzebną to jest rzeczą w kraju, którego mowa nie władają, nie znają miejscowych zwyczajów; do rzeczy wielce pożytecznej dla wychodźców naszych należy wiązanie się w towarzystwa, czego przykłady mają przed oczyma w najrozmaitszych przejawach tak pracy na chleb, jak i układu życia, życia potrzeb duchowych. Pier-

wszą w tym kierunku próbą naszych tu braci jest już od jesieni zeszłego roku zawiązanie stowarzyszenia eksploataowania kopalni złota w Cripple Creek w stanie Colorado, o której już wam niegdyś pobieżnie wspominałem. Stowarzyszenie to przedstawia dane wielkiego znaczenia; z głębiej znanych tu osobistości zaznacza się książę Jan Sapiecha, syn księcia Adama, hr. Zofia Łubińska i Rudolf Modrzejowski, syn znakomitej artystki. Przedsięwzięcie ma przed sobą wielkiego znaczenia nadzieję, bo im dalej zapuszczają się w głąb szybu tem żyły złotodajnego kwaru stają się obfitsze.

Profesor geologii Penrose pod którego wskazówkami wydobywają się z łona skał te skarby, złożył rządowi raport taki, że okręg Cripple zawiera według obliczeń przypuszczalnych w łonie swoim złotego kruszcza wartości 350 milionów dolarów a wydobyto już dotąd część tych skarbów dwudziestą. Złotodajna ta kraina, malowniczo piękna, ciągnie się ku dolinie rzeki Arkansas szeregiem wzgórz w których łonie mieszczą się szczeliny podziemne, przerzynające ściany granitu, porfiru, fonolitu, wypełnione złotym kwarcem. Pracuje tu nad ich wydobywaniem z łona skał 6,000 górników, którzy pobierają trzy dolary dziennie za osiem godzin pracy—pracy nielada, bo robota odbywa się dniami i nocą, lecz nie ma tu żadnego odpoczynku, żadnego wytchnienia bo tak w niedzielę jak i w święto każde brzmi tam dniem i nocą huk rozsadzającego skały dynamitu.

Jest tutaj wśród paruset kopalni jedna, Portland zwana, której historia przedstawia się jak bajka sensacyjna. Położona już niemal wśród miast, przedstawiała powierzchnią nierówną wzgórz i dołków, aż irlandczyk jeden kopiąc tam ziemię dla wydobycia kamieni, potrzebnych na podwalinę budującej się kamienicy, odkrył skarb, który mu przyniósł półtora miliona dolarów—pokład ziemi złotodajnej. Nieprędko przecież poznano się na tem; biegli potrzaskali głowami, nie chcąc uwierzyć aby szlachetny ten kruszec tak zaraz pod powierzchnią pierwszych warstw w ziemi się znajdował, więc właściciel nieznanego bogactwa nie mogąc pozyskać potrzebnego mu kredytu sam własnoręcznie kopał grunt twardy, zalewając się znojem gorącym, aż końcu poznano że to nie marzenie, nie bajka. W ciągu sześciu miesięcy wydobyto z łona ziemi złota w wartości półtora miliona dukatów, zaczęto więc badać na całej tej przestrzeni grunt złotodajny, i zawiązało się wkrótce stowarzyszenie, liczące siedem tysięcy osób a choć składki nie przenosiły pół dolara, zebrała się suma pozwalająca na prowadzenie robót. Bogaty ten rezultat tak podniecił ludzi, że zawiązało się nawet niewieleśkie stowarzyszenie kopania złota. Dawano tu co kto miał grosza, co kto miał siły i przedsięwzięcie rozwinęło się bardzo pomyślnie.

Towarzystwo nie jest przecież dostatecznie bogate i nie mogąc rozporządzać odpowiednim kapitałem nie może też osiągnąć zysków wyższego znaczenia; na szczęście jedna z kopalń Towarzystwa, zwana Gorland, może to wynagrodzić, co dobrano się tam do pokładu rudy, który przedstawia już w perspektywie zyski wyższe, na co przecież potrzeba znacznego nakładu, którego dotąd brakuje. Ale zostawmy to przyszłości, bo terazniejszość przyniosła nam tu obecnie wielką uciechę z powodu triumfów, jakie tu otaczają naszą rodaczkę, p. Antoninę Szumowską, w Nowym-Yorku, gdzie w przeszłym miesiącu wystąpiła z koncertem, który przyniósł jej rzęsiste oklaski. Wszystkie dzienniki przyznały jej nie tylko wielki talent, co już było rzeczą bezspornie uznaną w roku zeszłym, ale i postęp. Dziennik „The World“ nazwał jej grę czarującą, co przyznały i inne organa prasy i można też powiedzieć bez przesady że uznanie, jakie jej okazywano, doszło niemal do uwielbienia i gdybym chciał powtórzyć to wszystko, co tu o niej pisano, byłoby to hymn uniesień, jaki się tutaj rzadko dostaje artystom, bo amerykańskie w ogóle dość chłodno przyjmują sztukę i nie oddają takiej czci artystom jak to bywa w Europie.

Amerykańska armia zbawienia, tworząca filię angielskiej, zapragnęła wytworzenia niezależnej armii amerykańskiej, która by według swoich pojęć i potrzeb miejscowych działać mogła; dowództwo oddane tu było synowi generała Bootha, Bellingtonowi Booth, że przeciw regułą tu przyjętą było, aby nikt zbyt długo nie sprawował swego urzędu, mło-

dy Booth został odwołany przez ojca z Ameryki do Anglii, ale odmówił posłuszeństwa władzy głównej i wtedy generał wysłał do Ameryki córkę swą Ewę, aby objęła w jego zastępstwie dowództwo nad armią, co też się stało, ale Bellington postanowił utworzyć nowy oddział armii amerykańskiej, a że po ogłoszeniu jego przemowy do armii część pewna żołnierzy Armii Zbawienia przy nim została, utworzyły się dwie armie, z których niewieścia podniosła też bunt, ale innego rodzaju. Mundurem tych rycerek jest welniana suknia brązowego koloru, który mało jest lubiony przez te żołnierki boże; przemowa jednego z dowodzących wykazująca że zbawienie dusz ludzkich nie ma nic wspólnego z kolorem noszonej sukni, niewiele pomogła i rycerki te świętobliwe zostały uparcie przy sukni błękitnej. Ale mimo tej drobnej śmieszności zaliczyć je trzeba do zasłużonych ludzkości i prawdziwie bożych rycerek, bo można twierdzić że są to rzeczywiście rycerki, broniące siostry swoje mniej szlachetnego ducha od upadku. Jedną z pośród nich, Ewa Henrychs, cały swój znaczny majątek na ten cel oddała, zostawiając sobie jedynie niewielkie dożywocie.

W Nowym-Yorku odkryto bardzo zajmującą pamiątkę po Waszyngtonie. Wznosi się tam na rogu dwóch ulic olbrzymi i wielce już stary budynek, którego wiek wykazuje napis wyrity na marmurowej tablicy, wmurowanej w ścianę frontową; podanie wykazuje, że była tu niegdyś rafineria cukru, którą w czasie wojny z Anglią o niepodległość zamieniono na więzienie dla brańców angielskich. Gdy obecnie burzono stary budynek, grożący już zawaleniem się, odkryto wśród warstwy gruzów papiery, pomiędzy którymi znajdował się własnoręczny manuskrypt Waszyngtona, obejmujący wydatki czynione na potrzeby Stanów Zjednoczonych od czerwca 1775 do 1783 r. Mąż ten wielkoduszny zapisywał skrupulatnie najdrobniejsze wydatki na rzecz publicznych potrzeb czynione.

Pierwsza pozycya w czerwcu 1755 r. brzmi: „Kupno koni, z których dwa od Jamesa Measi wzięto na kredyt dla mego wykupowania się i dla osobistej mej służby, 239 funtów szterlingów.“ Ostatnia pozycya, kreślona w d. 1-go czerwca 1783 r. przedstawia: „Koszta podróży z kwatery zimowej tam i na powrót 1,064 fun. szterlingów i 1 szyling.“ Jak to przedstawia podniosłe wielkiego człowieka w skrupulatności jego surowej, gdy się dotyka grosza publicznego, on który tworzy państwo i losami jego zarządza...

Jeden ze najznakomitszych podróżników amerykańskich William Portking zwiedzał kolejno wszystkie kolonie Wielkiej Brytanii z myślą zali Ameryka coś z tych urządzeń przyjąć by nie mogła, gospodarując na dalekich obszarach ziem swoich. Książka, opisująca te jego podróże, przedstawia bardzo ciekawe rzeczy pod względem bogactw i samodzielnego rozwijającego się życia Nowej Zelandyi; ludność jest tu bardzo pracowita więc i zamożna, a przyroda uposażyła ją nie tylko w tak obfite plony, które wydaje ziemia niesłychanie w stosunku do innych stron świata urodzajna, ale obfitość zwierząt wszelkiego gatunku, oraz ptactwa jest dla Europejczyka niemal niepojętą. Welny wywozi się ztąd rocznie za dziesięć milionów funtów szterlingów, obok tego wypasa się na rzeź około siedemnastu milionów baranów, których milion idzie do Europy już jako mięso zakonserwowane. Ta obfitość zwierząt staje się drugostronnie klęską: króliki przywiezione tu z Europy tak niesłychanie się rozmnożyły, że trzeba je wytępiać, bo niszczą pastwiska i rząd wyznaczył wysokie nagrody na ich wyłapanie, a 125,000 dolarów za środek któryby pozwolił wytracić je zupełnie.

Bogactwa mineralne są tu również wielkie; kopalnie złota i węgla kamiennych przynoszą miliony, a obok tego roślinność niewypowiedzenie bogata nie tylko służy człowiekowi na użytek jego potrzeb materialnych, ale czarowna swą pięknoscią wzrok jego cieszy i jedynie walki tubylców z europejszymi, anglikami głównie, rzucały tu całun żałoby. Przecież obecnie stosunki te zmieniły się szczęśliwie, anglicy dali tubylcom, Maorysom, prawa jakich sami używają i wznoszą się miasta, wzrasta przemysł, oświata, i książka amerykańskiego podróżnika nie tylko zaliczyć się daje do bardzo zajmujących, ale i do bardzo pożytecznych jego współziona-

kom, którzy posiadają obszary ziem, gdzie należy zaprowadzić cywilizację, nie tępiącą ludności czernowoskórej.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu rozpoczął się zjazd przedstawicieli kolei w sprawie komunikacji podmiejskiej.

— Na ostatnim posiedzeniu komitetu wystawy higienicznej zdana została sprawa z postępu robót koło urządzenia dioramy starej Warszawy podług rysunku Canaletto z wieku XVIII. Diorama będzie wykonana w ciągu miesiąca przy współudziale I. Ryskiewicza, Guranowskiego i Kozłowskiego.

— Panorama wielkich rozmiarów Fałata i Koszaka „Przejście przez Berezynę” wykonana w Berlinie, zajmuje bardzo publiczność tego miasta. Ma tu ona przedstawiony krajobraz zimowy, na którego tle widnieją kilkaset postaci. O skreślenie objaśnienia potrzebnego nie tylko dla cudzoziemców zwrócono się do Gawalewicza. Otwarcie nastąpiło d. 1-go Kwietnia.

— Towarzystwo muzyczne rozstrzygnęło w tych dniach dwa konkursy. Konkurs ogłoszony przez Towarzystwo na „Poloneza jubileuszowego” zgromadził czternaście kompozycji, z pośród których uznano za utwor najlepší polonez pod godłem „Nadzieja” i przyznano mu nagrodę w sumie 150 rs. z pewnem przecież zastrzeżeniem, wyróżniając obok tego dwie prace pod godłami: „Alfa” i „Dla chwały.” Po otwarciu kopert okazało się, że twórcą poloneza nagrodzonego jest p. Ignacy Pilecki a odznaczonego z pierwszeństwem p. Tadeusz Joteko; odznaczenie drugie otrzymał p. Mielat Hertz. Sąd konkursowy składał się z p. p. Stanisława Ciechomskiego, Adama Mincheimera, Zygmunta Noskowskiego, Aleksandra Polińskiego, Gustawa Roguskiego. Z grona artystów zaproszono p. p. Stanisława Barcewicz i Ludwika Grossmana.

— Na zebraniu ogólnem członków War. Tow. Zachęty sztuk pięknych odbyły się wybory do komitetu. Większością głosów wybrani zostali z pośród artystów p. p. Adam Badowski, Julian Mażyński, Juliusz Herman, Stefan Szyler, Apoloniusz Kędziński i Leopold Wasilkowski, wszyscy ci, którzy już zajmowali to miejsce w roku zeszłym. Z pośród miłośników sztuki wybrano: Stanisława Wydzę, Józefa Weissenhafa, księcia Michała Radziwiła, Józefa Holewińskiego, doktora Beni i Mściława Godlewskiego. Na członków komisji rewizyjnej wybrano jednogłośnie głosów p. p. Deike, Fuchsa i Jaworskiego.

— Wystawa stała Tow. Sztuk pięknych otrzymała spora ilość nowych dzieł sztuki a pomiędzy innymi: Józefa Rapackiego „Droga w zimie,” „Roztopy wiosenne,” „Potok górski” i akwarele „Zagroda góralska,” Stanisława Jasińskiego „Deszcz,” Aleksandra Kozłowskiego „Krajobraz,” Bronisława Wiśniewskiego „Studjum Kobiety,” Jana Chełmińskiego „Raniony jenerał,” Franciszka Kostrzewskiego „Ostatnie sosny,” Henryka Grabińskiego „Przed burzą” i „Pełnia,” Józefa Mączynskiego akwarela „Młyn na Warcie,” Andrzeja Pachniewskiego „W ogrodzie,” „Wnętrze chaty bretońskiej,” „Mała wieśniaczka” i „Żuaw.” W dziele malarstwa portretowego bardzo pięknie malowany „Portret pani G.” pędzla Emilii Dukezyńskiej, dwa portrety pastelowe i jeden olejny Maryi Nostitz Wasilkowskiej, St. Lentza dwa portrety męczyzn i Henryka Piątkowskiego „Portret damy”

Kolekcya rzeźb pomnożyła się dziełami Ant. Madejskiego: statuetka brązowa „Malutka Ewa” i Hipolita Marczewskiego „Popiersie” z terakoty.

— Album prac Władysława Podkowińskiego wyszedł u Gebethnera i Wolfa, dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na wzniesienie pomnika dla zmarłego artysty.

— Warszawa rozszerzając się i zaludniając coraz więcej, potrzebuje i większej liczby instytucji dobroczynnych, do których zaliczyć należy wielce pożyteczne schronienie dla nędzy niezdolnej sobie radzić „Warszawski dom sierot po robotnikach.” Powstał on dzięki hojnej ofierze dwóch szlachetnych filantropów, hr. Leona i Seweryna Lenwałów, który na ten cel złożyli ofiarniecznie znaczną sumę 200,000 rs. Dom został wybudowany ze względu na wszelkie wymagania zakładu wychowawczego, mimo tego wydatku pozostał jeszcze kapitał żelazny, którego odsetki pozwalają obecnie wychowywać piętnaście sierot.

— Odczyty na dochód Towarzystwa osad rolnych, obchodzącego w roku bieżącym dwudzieste pięciolecie swego pożytecznego istnienia, rozpoczął p. Edmund Jankowski, wygłaszając rzecz zajmującą a mało jeszcze znaną, o roślinach mięsożerzych. Przedmiot nie dość przecież zainteresował publiczność naszego miasta, bo liczba słuchaczy była bardzo nieliczną, lecz dwa odczyty następne p. Aleksandra Kraushara o krytyce literackiej zgromadziły znaczną liczbę osób, słuchających z zajęciem, zwłaszcza gdy z kolei prelegent przeszedł do krytyki naszej, poczynając od Grzegorza z Sannoka, Konrada Celtesa, Trzcieskiego i Starowskiego. Dobór tematu, pojęcie jego oraz piękne wygłoszenie sprawiło że słuchacze podziękowali mówcy rękami oklaskami.

— W Przeglądzie Pedagogicznym umieszczył S. Karpowicz bardzo zajmujący i pożyteczny artykuł „Nauki przyrodnicze w życiu i wychowaniu.” Potrzeba zaznajomienia młodzieży z przyrodą jest ogólnie uznana przez myślących pedagogów. Rabalais, który ideę wychowania podniósł wysoko, uważał to za rzecz wielce pożyteczną. Komeński pragnął zwrócić uwagę młodych umysłów na rozwój życia wszystkich tworów, co kazało by im głębiej patrzeć w życie.

— W Zakopanem wznosi się przy ul. Chałubińskiego budynek drewniany, lecz okazały, z piękną wieżyczką i ozdobami architektonicznymi w guście miejscowym, jakimi lud zamieszkujący Podhale tatrzańskie przyozdabia budowle swoje. Jest to „Muzeum tatrzańskie imienia Chałubińskiego,” wzniesione w 1888 r. Towarzystwo wzięło sobie za cel zgromadzenie w Muzeum okazów natury Tatr polskich, oraz wyrobów domowego przemysłu tak w Zakopanem, jak i w okolicach, oraz przedmiotów artystycznych i naukowych, odnoszących się do Tatr. Mieszcza się tu zbiory zoologiczne, botaniczne, mineralogiczne, etnograficzne i archeologiczne, a obok tego okazy przemysłu domowego, miejscowego i z okolic; dalej książki, rysunki, mapy i plany, odnoszące się do Tatr i Podhala tatrzańskiego. Zaspoby Towarzystwa tworzą się ze wkładów jednorazowych i składek wnoszonych przez członków, oraz z opłaty pobieranej za zwiedzanie muzeum, wreszcie z ofiar i zapisów, z odczytów i koncertów na korzyść muzeum urządzanych. Towarzystwo usiłowało przez siedem lat swego trwania starać się o to usilnie i komitet zakupił wiele cennych przedmiotów, zbierając zarazem fundusz na wzniesienie domu muzealnego, pod który grunt darowali spadkobiercy Chałubińskiego. Budowa rozpoczęta w 1891 r. mogła już przyjąć w lipcu 1892 r. wszystkie składane tu dary i zakupy; otworzono też i stała stać meteorologiczną, której spostrzeżenia przesyłają się Akademii krakowskiej, oraz stacyi klimatycznej w Zakopanem.

Dział zoologiczny składa się z cennego zbioru mełchów i porostów w 276 gatunkach, a wpośród tych jest 169 rodzajów zebranych przez Chałubińskiego, który je ofiarował muzeum, podobnie jak prof. Wrzesniowski i p. Sempołowski. Książki zielnika jest dziesięć, zawierających 900 okazów, dar komisji fizyograficznej Akademii umiejętności. Dział mineralogiczny i geologiczny powstały z darów, jest bardzo skromny, ale pomnaża się corocznie; biblioteka mieści kilkadziesiąt dzieł naszych i obcych, odnoszących się przeważnie do przyrody tatrzańskiej.

KOLONIE LETNIE

dla ubogich, słabowitych dzieci

w Warszawie, Nowy-Swiat N. 42.

Po raz piętnasty Warszawa ma w tym roku wysłać na wieś, na kolonie letnie, dzieci słabowite rodziców ubogich.

W roku zeszłym, dzięki ofiarom i pomocy ludzi dobrej woli w całym kraju, przeszło 1870 dzieci warszawskich krzepiło zdrowie i siły na świeżem powietrzu.

Grono osób, niżej podpisanych, otrzymało w roku bieżącym upoważnienie władzy (odezwa Jaśnie Wielmożnego Jenerała Gubernatora z d. 23 Grudnia 1895 r., za Nr. 15546) do zbierania ofiar i do urządzenia kolonii letnich w roku 1896 na warunkach przez tę władzę określonych.

Grono to, przystępując obecnie do wyboru dzieci, wysłać się mających w r. b. na kolonie letnie i do zebrania zawczasu potrzebnego na ten cel funduszu, zwraca się do osób dobroczynnych z prośbą, o przyrzeczenie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Kolonie letnie kapitałów nie posiadają; istnieją i rozwijają się jedynie kosztem corocznie zbieranych ofiar; Bóg da, że i w roku bieżącym ofiar tych nie zabraknie, że oczekiwania rodziców, niemogących własnymi siłami ratować swych dzieci, zawiedzionymi nie będą.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika, Dyrektora Aleksandra Czajewicza, codziennie od godziny 2 do 3, w biurze Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Miejskiego (Ulica Włodzimierska Nr. 23), a nadto na ręce osób niżej wymienionych i wreszcie w redakcyach czasopism.

Brzezińska Emilja, Higersberger Wanda, Karłowicz Irena, Krysińska Jadwiga, Krzycka Marya, Natanson Leonia, Pawińska Jadwiga, Szadkowska Wiktorja, Werner Jadwiga, Czajewicz Aleksander, Konie Henryk, Kosmowski Wiktoryn, Kuczyński Antoni, Lubowski Henryk, Markiewicz Stanisław, Natanson Antoni, Pawiński Adolf, Skłodowski Władysław, Święciecki Julian Adolf, Tanenbaum Leon, Wienawski Julian.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się: ark. 8-my powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego,

TREŚĆ: Wychowanie, przez M. I.—Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego.—Z Włoch, przez Augusta.—Odczyty, przez Wł. Bukowińskiego.—Z Ameryki.—Z bieżącej chwili.—Kolonie letnie.

Dodatek obejmuje: **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 8-my.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.